



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLUCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

CIEŻKIE CZASY.

— Ciężkie czasy!—wołają do koła i tak jest niewątpliwie. Zmiana stosunków rolnych, zmalała nagle wartość ziemi—to przy naszych warunkach ekonomicznych i społecznych ciężar wa gi ogromnej, przyrzucony na szalę losów naszych, i *ciężkie czasy* gniotą nas rzeczywiście—gniotą tak, że trzeba siły, trzeba prawdziwej energii ducha, aby nie pochylili, nie zgięli w dół przytłoczonych. Wprawdzie ta filozofia życia, która się jego nauką moralną nazywa, zawiera zdanie, że nieszczęście hartuje; przecież należy jeszcze zapytać: kogo mianowicie i jacy to są ludzie, którzy mogą tak się przeciwstawić złym losom?

Kiedy w czasie wojny francuzko-pruskiej Paryż został oblężonym, Sand otrzymawszy wiadomość tę okrutną na wsi, gdzie przemieszkiwała, wykrzyknęła odważnie: — „Rien n'est jamais perdu sans retour”... ale kronikarz jej życia notuje, że zaraz następnie dodała: — „Personne n'est absolument incorrigible!” co znaczy, że wiarę swoją w możność ratowania się Francuzów oparła na myśli ich podniesienia się w mężstwie walecznym—na ich przetworzeniu się w ludzi nowych, w nowy naród, któryby się pozbył wad dawnych, a zdobył cnoty, nieposiadane dotąd. Logicznie należy i nam przyłożyć pojęcie takie do nadziei podniesienia się ponad *ciężkie czasy*, do ratowania się podobnego przed ich naciskiem.

Najpierwszą w tem rzeczą jest zrozumieć położenie. Zubożeliśmy, i kto nie chce dojeść ostatnich, musi zmienić skalę życia, która nagle stała się życiem nad stan. Sama oszczędność, choćby największa, jeszcze tu nie pomoże: jest to lekarstwo łagodzące, ale nie to, które zdrowie przy-

wraca. Z tak traktowanej choroby można umrzeć i umiera nas też nie mało. Słyszymy, co chwila okrutny psalm: *De profundis!* i idzie po nas dreszcz trwogi, żalu, boleści za tym porządkiem, który się łamie, a czemuże zastąpionym być może? Jedynym zbawieniem, bo jedynym zbawienia środkiem, jest wydobycie z siebie tej energii, która śmiało i wprost do celu kroczy. Cała jedna klasa powiedzieć sobie musi, że stare tradycje pańskości już przepadły. Położenie się zmienia, dawne formy towarzyskiego, rodzinnego bytu stają się już dziś tak niemożliwymi, jak naprzykład niemożliwą jest rzeczą, aby podupadli, zbiednie li potomkowie magnata zamieszkiwali jego pałac wspaniały, z szeregiem komnat gościnnych i chórem, gdzie przygrywała kapela nadworna. Rozbierzmy te gmachy stare i z cegieł, drogiech nam jak relikwie, zbudujmy sobie nowe, odpowiedniejsze potrzebom chwili ogniska rodzinne, gdzie przecież przeniosą się za nami nasze lary i penaty—bogi te domowe, które uchodzą z gruzów i rumowisk tak, jak słyszano niegdyś aniołów, uchodzących ze świątyni Salomona!

Energia, która w czas decyduje się na konieczność, ocala jeszcze wiele—ocala skarby ogromne, bo zasób, który pozwoli na takie przebudowanie życia, abyśmy przeszczepili rdzeń jego w pień formy, jakiej czas wymaga.—„Wynieśmy arkę rodzinną na stały ląd”—woła poeta i takim powinno być hasło tej pracy, która jest zadaniem chwili, a w której wiele, bardzo wiele może kobieta, bo jest ona nietylko matką, która chowa pokolenie młode, ale panią u domowego ogniska. Mężczyzna tworzy historią narodu, kobieta jego obyczaje i schyłek ośmnastego wieku pokazał nam, co na tem zależy. Dziś chwila jest innego ukształtowania towarzyskiego. Przeciagać to, co się ostać już nie może, jest apatją, albo uporem bezrozumnym. Kobieta nasza nie może być posadzoną o pierwsze: duch jej nie jest zamarym w piersi chłodnej—ocięzałym, leni-

wym duchem. Ale upartą jest, upartą nieraz aż dziko przez to właśnie, co ją powinno skłaniać do ustępstw, do ofiar, na które ją sercem stać niemal ogólnie. Z namiętnością, która często wszelkie rozumowanie wyklucza, matki pragną utrzymać dla dzieci to stanowisko wyższe, którego same używały i ztąd wychowanie, zwłaszcza córek, jest niepraktyczne, nieodpowiadające chwili swojego czasu, ze względu em zbyt wielkim (podobnie jak i przy nauce) na salon, na efekt zewnętrzny i ztąd nie przygotowuje ono do surowej, w warunkach dzisiejszych, pracy życia, którą trzeba nam podjąć nietylko mężnie, szczerze, ale i otwarcie, bo inaczej będzie ona zawsze połowiczną, celu chybiającą.

Wstyd ubóstwa—fałszywy, niedobry, nieszczęśliwy wstyd tego, że bogatymi nie jesteśmy, który słusznie i godziwie mogą czuć tylko marnotrawcy i utracjusze, trzyma nas też w kleszczach swoich. Łatwiej się rozstajemy nawet z używaniem, które majątek daje, niż z tytułem ludzi majątnych. Kryjemy się z biedą, jak z hańbą; wysilamy się na pozory, i w bardzo znacznej części poświęcamy im treść życia, a jakkolwiek mamy przysłowie: „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi,” usiłujemy pod tym względem oszukiwać się wzajemnie, trzymając się cienia rzeczy już dla nas przepadłej. Pańskość nasza, tak drogo okupowana, jest już wprawdzie pańskością ubogą—smutną pańskością tego Ravenswood'a z Lamer-mooru, który w galerii obrazów Walterscotta jest może jedną z najtragiczniejszych postaci. Młody, zdrowy, zdolny do pracy i w pełni tej siły życia, która zastosowania żąda, znosi nędzę i marnieje powoli w bolesnych warunkach ukrywania biedy swojej, słysząc codziennie, jak stare ściany domu trzeszczą, widząc, jak na wysokim jego dachu lęgą się puszczyki. W romansie, pisanym za ojców naszych, miłość przyszła rozwiązać węzeł trudności, ale w życiu żywym, w życiu naszej epoki—naszego położenia, inaczej trzeba

ZYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ VI.

O przepracowaniu się umysłu.

Potrzeba nam znać siebie; jesteśmy tyle ciałem, ile umysłem.

Pascal.

Słaba natury góruje w młodości nad wielu nadziejami, których się wiek ten dopuszcza. Ale zastanów się nad biegiem lat i nie postępuj tak wciąż, ponieważ wiek nie pozwala wyzywać się bezkarnie.

Bacon.

rozplątywać takie zadzierzgnięcie losu. Ravenswoody, Radziwiłły, jeżeli taka dola im padnie, powinni — nie paść nędznie z góry na dół, dojadłszy ostatni okruch posiadanego chleba — ale z dostojną godnością ludzi rozumnych zejść na równiny życia i stanąć obok bratniego tłumu na zagonie pracy, która, rosząc czoło znojem, przecież schylać go nie każe, w sukni niekłamającej tego, czego już niema.

Wyrzeczenie się tragikomedii, która sili się na maskowanie rzeczywistości larwą, śmiejącą się z jednej strony, gdy druga płacze, to nie tylko rozwiązanie sobie rąk do pracy, ale kamień, z piersi odwalony i pozyskane uczucie swobody — lekkość serca, którego nie tłoczy już morderczy ciężar taśzywego wstydu, ani Syzyfowa praca toczenia pod górę głazu, który własnym ruchem swoim wiecznie w dół się osuwa. A co wypadków losowych, zacząjonych na takie Syzyfy nieszczęśliwe? Trzeba stać mocno na gruncie realnym, aby się nie lękać co chwila upadku. Że wszyscy naturalnie tego pragniemy, tego pożądamy sercem całym, aby to był grunt stary, dziedzictwo ojcowskie, nie znaczy to, aby forma życia starą być musiała. Modyfikacja rzeczy zewnętrznej nigdy nie uszkodzi jądra samego, jeżeli odbyła się zgodnie z przykazaniem: — Pamiętaj, byś czcił ojca twego i matkę twoją... Do szanowania i miłości gniazda swego zostało przywiązaniem przez Boga błogosławieństwo długiego trwania na ziemi.

Gdybyśmy pomysleli jak maluczkiem jest i nędznym uczucie, które każe nam mieścić dumę w majątku, w większym czy mniejszym worku złota, zawstydziłibyśmy się sami przed sobą tych usiłowań i miłości gniazda swego zostało przywiązaniem przez Boga błogosławieństwo długiego trwania na ziemi. Gdybyśmy pomysleli jak maluczkiem jest i nędznym uczucie, które każe nam mieścić dumę w majątku, w większym czy mniejszym worku złota, zawstydziłibyśmy się sami przed sobą tych usiłowań i miłości gniazda swego zostało przywiązaniem przez Boga błogosławieństwo długiego trwania na ziemi. Gdybyśmy pomysleli jak maluczkiem jest i nędznym uczucie, które każe nam mieścić dumę w majątku, w większym czy mniejszym worku złota, zawstydziłibyśmy się sami przed sobą tych usiłowań i miłości gniazda swego zostało przywiązaniem przez Boga błogosławieństwo długiego trwania na ziemi.

Ciężkie czasy stałyby się tylko o połowę tak ciężkimi, i nie gniotłyby tak śmiertelnie, nie skazywałyby na wieczność nędzy, na niedźwignięcie się z ruiny obecnej. Ratować ostatki... toż to dla nas razem i rozum, i cnota. Można zawołać z Francuzka: — „Nic nie ginie bezpowrotnie!“ ale wtedy tylko, gdy dodaje się zaraz w przeświadczeniu o godności natury ludzkiej, że „nikt nie jest absolutnie niepoprawnym...“ żadna istota ludzka, żadna klasa społeczna, mająca w łonie swoim jakąś jeszcze iskierekę tej żywotności, która w niebezpieczeństwie staje się instynktem zachowawczym, i jest w obliczu śmierci siłą ratującą od zguby: wśród potopu budowaniem arki, w przepaści chwytaniem się liny, która daje wywindowanie się do góry.

Ktoś powiedział: „Czas się nie spieszy — bo ma czas...“ ale my ludzie — narody, społeczeństwa — wszystko co żyje i trwa w czasie spieszyć się musi, bo im może zabraknąć — czasu... Najcięższą winą i najcięższym nieszczęściem na podświetlonym świecie naszym, jest spóźnienie się i *Sąd Ostateczny* to zawołanie — zapóźno!... Trąba Archaniola nie brzmi inaczej i woła tylko — już skończył się czas...

M. Pnicksa.

— „Widzieliśmy, że wielcy ludzie są zarazem wielkimi pracownikami — pisze Smiles, zaczynając długi, blisko sto stronic obejmujący rozdział o przepracowaniu się umysłu. Każdy organizm ma pewien zakres, poza który bezkarnie przejść nie może. „Człowiek — pisze Esquirol — jest to maszyna nerwowa, którą zarządza temperament...“ Największy bohater jest niczem w stanie rozprężenia nerwów“ — mawia Bolingbroke. Poeci i artyści produkują pod wpływem podniecenia i są nerwowo wrażliwi już z powołania. Mózg działa u nich na systemat nerwowy, jak bateria elektryczna, wywołując ciągle siłę nerwową, a wyczerpanie następuje w stosunku do natężenia i czasu jego trwania. Jest to ciągła utrata siły żywotnej, co może być wynagradzaniem jedynie przez odpowiedni odpoczynek. Smiles stawia wiele przykładów, w których wyczerpanie sił w pracy umysłowej daje śmierć. Lukrecya Davidson, wiele obiecująca poetka amerykańska, umarła w siedemnastym roku życia prosto z nadmiernego podniecenia nerwowego.

Gounod bywa zwykle nawiedzany przez jakąś nieodgadnioną chorobę osłabienia, ilekroć, które z jego dzieł ma być poraż pierwszy wykonywanym publicznie. Jest to skutek nerwowego podniecenia i spracowania mózgu przy tworzeniu owego dzieła, objawiający się następnie. Goethe mówił że po napisaniu każdego ze swych większych utworów zapadał w formalną chorobę. Carlyle dowodził tego studentom z katedry uniwersytetu edinburskiego, że zupełne zdrowie nie może się godzić z tworzeniem literackim. Przykład brał z siebie. Chorował zawsze, póki pisał jakieś dzieło. Czytelnicy naszego pisma przypominają sobie może, jak dręczył wtedy niemiłosiernie żonę, biedną entuzjastkę, która dla pisarskiego jego talentu poszła za tego samolubą i gburą. Darwin nie mógł nigdy pracować dziennie dłużej nad trzy godziny. Smiles słyszał to z jego ust własnych. Nawet rozmowa, gdy była żywa rozdrażniała go i raz, bawiąc u Smiles'a w gościnie, przerwał jakąś rozprawę słowami: — „Rozmowa staje zbyt podniecającą i pozwól, abym się oddalił.“

Podniecenie mózgu oddziaływa silnie na nerwy, na serce, na wątrobę i organa trawienia, czyli na cały organizm w jego funkcjach żywotnych. Mało jest myślicieli i pisarzy zupełnie zdrowych; cierpieniami fizycznymi odpłacają oni rozkosze umysłowego tworzenia. Siły organizmu większe czy mniejsze, noszą to bez niebezpieczeństwa, skoro drugostronnie są oszczędzane, i gdy odpowiedni układ życia pozwala im się odświeżać.

Czynność mózgu jest to pewnego rodzaju palenie się żywotne: „vital combustion.“ Wydaje ono płomień i ciepło, a pali się tak zupełnie, jak ogień na ognisku komina. Dostarczajmy obficie paliwa pod postacią pożywienia i snu, a jeżeli odpoczynek będzie regularnie do tego dołączanym, praca umysłowa nie stanie się szkodliwą, a nawet prze-

ciwnie, można ją uważać za zbawienną dla organizmu zdolnego do niej. Ale gdy materiału palnego brakuje, gdy z pracą umysłu łączy się złe odżywianie, brak ruchu, czuwanie po nocach, wtedy czynność myślenia się wyczerpuje i może się stać zabójczą. Znany, sławny inżynier angielski, Jerzy Stephenson, widząc, że przyjaciel jego, także inżynier, Lindley, mizerniej i zdaje się z sił wyczerpanym, zaczął uważać na jego sposób życia i zawołał: — „Bracie Lindley'u, widzę ja co się dzieje... Chcesz mieć trzydzieści szylingów procentu od gwiney, ale moją radą jest, abys dał temu pokój...“

Jeżeli wszystkie władze organizmu naszego są proporcjonalnie czynne i funkcje żywotne spełniają się harmonijnie, rezultatem takiego stanu jest zdrowie. Gallen powiedział: „Zdrowie to symetria, choroba zaś to nieład“ (Sanitas est symetria, morbus autem ametria). Uczni, uczący się, jeżeli za pośpiesznie i bez uwagi na siebie dążą do celu, zakłócają w sobie harmonią wewnętrzną i zdrowie przepada. Człowiek staje się wtedy nerwowym przez wszystkie strony istoty swojej i jego mózg, serce, żołądek, skóra, zęby nawet są zdenerwowane. Skoro energia muskułów osłabnie, wszystkie ważniejsze i delikatniejsze organa cierpią w nas.

Że praca mózgu jest w wysokim stopniu szkodliwą, bo owoce jej dają władzę, zaszczyty, bogactwo — wiemy to. Ale należy obok tego wiedzieć, jak organizm wykosztowuje się na nią. Nadmiar pracy, wysiłanie się w pracy, to wyniszczanie, szarżanie (wear and tear) organizmu, i następuje wtedy smutny koniec niejednego świetnego snu o sławie, o wielkości. Nawet wtedy, gdy pożądaną naszą osiągną skutek, nabytem to zostaje za cenę straconego zdrowia, za cenę upadku sił, ciągłego stanu niemocy i cierpienia. Nie jest zupełnie bezpodstawnym zdaniem Fryderyka Wielkiego, że człowiek jest raczej stworzonym na pocztylioną, niż na flozofa. Praca umysłowa należycie umiarkowana, nie podkopuje organizmu, ale biada tym, którzy nadżywają tej wolności człowieka, że jako istota rozumna, niezwiązana przez naturę siłą instynktu, może robić ze sobą, co chce. Matematycy, filozofowie, pisarze, prawnicy pracują umysłowo za wiele; owoc nadmiernych w tym kierunku wysiłków, jest tem, czem perła w muszli: nie rezultatem naturalnej płodności, ale wytworem choroby, prowadzącym do cierpienia.

W stanie zdrowym nerwowa wrażliwość naszego organizmu jest rozdzieloną równo pomiędzy organa, gdy przecież mózg jest głównie w ruchu, reszta organizmu musi chorować na zastój, bo harmonia — symetria organów, jak się wyraża Gallen, jest zburzoną i nie ma już równowagi, na której zdrowie się opiera. Smiles stawia tu Voltaire'a, jako powagę kompetentną, a ten przyjaciel Fryderyka Wielkiego aż cynicznie pod tym względem się odzywa, ale autorowi angielskiemu chodziło właśnie o dosadność, jaka się tu znajduje. Kiedy raz mówiono w obecności Voltaire'a o prezydencie Hénault, jako o człowieku bogato uposażonym w dary natury i fortuny, Voltaire odparł: — „Nic to nie znaczy... nie może trawić...“

W liście do lorda Chesterfield pisał raz autor „Henryady.“ „Lord Huntington mówił mi, że macie, panie, dobry żołądek, a rzecz to warta pary dobrych uszów. Nie wiem co jest najgorszym wśród tych trzech klęsk: być głuchym, ślepy, czy źle trawiącym?“

Niemiecki fizjolog Feuchtersleben napisał w dziele swoim: *Fizjologia umysłu*, że często bardzo przyczyną nieszczęść jednego człowieka jest wątroba drugiego. — „Bez tej przekłetej żółci nie wygrywalibyśmy wielkich bitew — rzekł raz Napoleon I-y, i gwiazda jego zbladła też, gdy zdrowie zaczęło cierpieć. Smiles zapełnia kilkanaście stronic książki przykładami stwierdzającymi jego dowodzenia i wylicza całe szeregi znakomitych pisarzy, mistrzów w sztuce, statystów, którym brak zdrowia stawał na zawadzie ich zamiarów, krzyżował je i za myślą swoją iść im nie pozwalał.

Wielkie dzieła potrzebują, obok dzielności moralnej, także i odpowiednich sił organizmu fizycznego,

aby pojętemi i dokonanemi być mogły. W tym to sensie Cabanis rzucił swój gorący paradox: „Człowiek to nerwy!...“ Moreau powtórzył to samo w słowach: — „Geniusz jest to chorobliwość nerwowa!“ — „Mózg—powtarza Smiles—to maszyna elektryczna, ztamtąd wywiązuje się siła, która działa na człowieka i wzrusza go. Geniusz, talent polegają na zdolności uniesienia i Montaigne dobrze powiedział: „Ludzie są niczem, póki ich nie ogarnie uniesienie.“ Wszystko ulega duchowi człowieka podniesionego do ekstazy — woła Avicenna. Molière mówił o Corneille'u: „Bóg (poety) nagle do niego przystępuje i dyktuje mu jego wiersze, ale również nagle porzuca go...“

— Zawiele widzę i zawiele słyszę—mówił nie kłamiąc, poeta znany Smiles'owi.

Poeci tworzą w chwili uniesienia i rozgrzania się, które działa na nich rozmaicie. Dryden doznawał drżenia, Alfieri olśnienia, zasłonięcia wzroku, Rousseau miewał gorączkę. Beethoven przyznawał się do takiej wrażliwości nerwowej, że najmniejsza rzecz zmieniała mu radość w ból. Blizcy świadkowie życia Byrona i Shelley'a utrzymywali, że najwyższe ich utwory były pisane w stanie niemal waryacji, a Byron sam nazywał poezją wyrazem poruszonej namiętności. Żona Shelleya mówiła o mężu, że życie jego było męczarnią z powodu złego stanu zdrowia, a ztąd nerwy jego nabrały takiej drażliwości, że zmieniało to jego poglądy na życie i odbierało mu możność odczuwania zdrowo radości żywota. Cierpiał ztąd bardzo, usiłował mężnie odierać cierpienie i w krótkim życiu jego — utopił się przez wypadek, mając rok trzydziesty—przeżył więcej, niż inni przez istnienie dwa razy tak długie.

Silne wzruszenia uczuć i porywy gorącej wyobraźni prędko zużywają ludzi, szczególnie, jeżeli z innej strony dostateczna moc woli i wyrobienie charakteru nie bronią od zbroceń, które wyczerpują. Ale są natury tak dzielne, że umieją panować nad wrażliwością swoją i przez siłę wyższego ducha rządzą temperamentem, aby nie wpaść w jego niewolę i nie żałować potem zmarowanego życia. Kiedy u łóża Van Orbeeck'a, holenderskiego malarza, który dogorywał z wyczerpania, lekarze, jeszcze nie tracąc nadziei, liczyli, że siła natury zdoła może oprzeć się postępowi choroby ze względu, że był właśnie w pełni męskiego wieku, miał lat czterdzieści parę, on rzekł im ze smutną goryczą:

„Licząc lata moje podwójnie, bo żyłem i w dzień i w nocy...“

Umarł też a przyczyną śmierci było rzeczywiste to podwójne istnienie: pracy w dzień, a zabawy i hulanki w nocy. Starożytni nazywali *wybrańcami natury* ludzi, którzy potrafili utrzymać wśród życia tę mądrą harmonią, aby wszystkie zdolności ich istoty mogły rozwijać się w nich jednocześnie, nie zabijając się wzajem. Plato należał do ich liczby i słynął z szerokości swych barków, aby zarazem pozyskać nieśmiertelną sławę wzniosłego myśliciela i filozofa. W późniejszych czasach do ludzi, którzy łączyli z silną budową ciała i niespożytym zdrowiem wzniosłe przymioty wyższości duchowej, zalicza Smiles: Michała Anioła, Leonarda da Vinci, Jana Sobieskiego, Gustawa Adolfa, Buffona, Glucka, Goethego, Wellingtona.

Można to sobie zapewnić choć w części pewnej przy rozumnym traktowaniu sprawy zdrowia, o którym poeta nasz słusznie woła: — „Szlachetne zdrowie! nikt nie wypowie jako smakujesz, aż się zepsujesz!...“ Zdrowie nie tylko chroni nas od przykrych dolegliwości i cierpień fizycznych, ale daje i siłę do szerszej pracy, szerszej działalności wśród życia, które zatem czyni użyteczniejszym i szacowniejszym, tak dla nas, jak i dla społeczności naszej. Bez zdrowia niema bohaterów i wielkich ludzi, chyba tylko przez jakiś jeden pojedynczy czyn wielkomyślności, wielkoduszości—na krótką świetność meteora, który przebiega widnokrajem pędem strzały i spada, aby zagasnąć.

Ludzie oddani pracy, która wymaga ciągłej działalności mózgu i przez to podnieca wrażliwość nerwów, powinni pamiętać o tem, że życie siedzące potęguje jeszcze złe skutki, jakie ztąd spływają

na organizm. Samo siedzenie przy pisaniu w pozycyi zwykle pochylonej, już utrudnia funkcje oddychania i wciągania w płuca świeżego powietrza. Jeżeli jeszcze przytem powietrze to jest mało czystem i ściśniętem, jeżeli pracujemy wśród nocy, działa to jeszcze zgubniej. Fizyczny nasz ustroj przestaje być wtedy dostatecznie odżywnym, bo powietrze i światło słoneczne tak nam są potrzebne dla karmienia naszego ciała, jak jedzenie. Jemy przecież tylko w pewnych chwilach, powietrzem zaś oddychamy ciągle, i skoro płuca nie są odpowiednio nadymane, krew nie może ulegać potrzebnemu działaniu tlenu — nie wyrabia jej się dość, i ztąd żywienie organizmu nie jest dostatecznem, a w skutek tego czynność serca słabnie, krew nie dopływa do kończyn, ręce i nogi są zimne, zimną jest skóra, i wtedy to zaczyna się złe trawienie i nadmierna nerwowość — skutki przepracowania mózgu, wytwarzające nadmierną wrażliwość i drażliwość — czułość, która trawi życie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg.)

Właśnie w tej chwili, kiedy Izaśław zjeżdżał ścieżką na głuchą, leśną drogę w Chreszczatej Dolinie, tłum ludu z Wszesławem na czele stanął pod wielkim dworem

— Ty bądź kniazem naszym — wołano do Wszesława.—Nie chcemy Izaśława, nie chcemy tego pijanicy i kostery, który lud obdziera, a bronić go nie umie.

Pod naciskiem ludu zawory bram pękły i w jednym momencie cały dwór książęcy napełnił się groźnie wykrzykującym tłumem.

Rzucono się do choromów, ale Izaśława już nie znaleźiono.

— Uciekł chwost zajęczy! — krzyczano.—Tak ucieka przed nami, jak przed Połowcami uciekł. Niechaj goni na cztery wiatry i nie wraca!

W jednej chwili tłum rozbiegł się po wszystkich zabudowaniach dworu książęcego i złupił moc niezliczoną złota, srebra, kun i soboli.

Działo się to już zmierzchem prawie.

Zaledwie bramy wielkiego dworu wywalono, i lud, ciągnąc za sobą Wszesława, przestraszonego i niedobrze jeszcze świadomego, co się dzieje wokoło niego, wszedł i napełnił dziedziniec książęcych choromów,—nadjechał mały orszak drużyny Jarosława z Kośniaczkim na czele, metropolitą Grzegorzem i duchowieństwem.

Kiedy ów orszak wjeżdżał na dziedziniec, wielki dwór był już zrabowany.

Lud, zdjąwszy czapki i kołpaki, schylał się metropolicie i wielki czteroramienny krzyż, który Grzegorz trzymał w ręku, całowano z pokorą.

Przodem wysunął się, Warażko, posadnik z Biełhorodu.

— Prosiłszy kniazia Izaśława, ażeby nam dał konie i miecze, lub sam nas bronił od Połowców—zwrócił się do metropolity ze skargą—i dać nam nie chciał. Kiedy nie chce, czy nie umie nas bronić, to niechże nam i nie kniaży. Znać, że i sam tak myśli, bo oto uciekł, i nie mamy kniazia. Pobłogosław ojczyznę wielobny Wszesława na stolec wielko - książęcy; niechaj ludowi i Bogu panuje na sławę.

Orszak rozstał się, a do metropolity zbliżył się, bez kołpaka, z rozczochranym włosiem i bladym, Wszesław. Metropolita nie wahał się długo,

podniósł krzyż trzymany w ręku do góry i pochylał nad głową jeszcze nieoprzytomnionego Wszesława.

— Błogosławię cię, kniaże, w imię ojca i syna i ducha świętego! Amen. Siądź z stolicy Jarosława Mądrego, którą ci Bóg przeznaczył, Kochaj i rządź ludem pojęciowsku, a grodu dziadów twoich i mienia bożego nie daj na rozdrapanie nieprzyjaciołom Boga.

Wszystkie głowy odkryły się i zapanowała cisza.

Wszesław przeżegnał się z pokorą i krzyż po dwakroć ucałował.

Po ucałowaniu krzyża stanął razem z metropolitą i orszakiem Kijowianów wśród wyrąbanej bramy i zwróciwszy się do ludu, który wszystkie place i drogi zalegał, rzekł głosem wzruszonym:

— Z woli waszej i bożej dziś zasiadłem na opuszczonym stolcu Izaśława. Bóg widzi, że to wola nie moja. On okazał nade mną siłę krzyża, bo kiedy pod Orszą Izaśław z bracią całowali krzyż przede mną, że nic złego nie uczynią, nie dotrzymali słowa. Naprowadził więc Bóg pogan na ich ziemię, a mnie od ciężkiej śmierci i od ciemnicy wybawił. Siedząc w porubie, wołałem nieraz: O krzyżu czesny! ponieważ wierzę w ciebie, wybaw mnie z tego porubu—i Bóg mnie waszemi rękami wybawił. Niech-że mi Bóg dopomóż, ażebyem jemu i wam służył z pożytkiem!

Spora gromada Kijowianów otoczyła wojewodę Kośniaczkę i dziękowała mu za to, że nie pomagał Izaśławowi w jego walce z ludem, ale stanął po stronie pokrzywdzonych. Przepraszano za uniesienia i zniewagi, jakich dopuszczano się względem niego jeszcze tak niedawno. Kośniaczko i przeprosiny i podziękę przyjmował z objętnością i dumą. Wojewoda myślał poswojemu: nie chwalił kniazia, który lud drażnił i rabował a bronić go nie umiał, ale nie chwalił i ludu, nieokazującego umiarkowania i rozsądku. On patrzył dalej: w walce wewnętrznej widział zaród przyszłych nieszczęść i niedoli.

Wszesław chciał korzystać z doświadczenia Kośniaczki i pragnął zatrzymać go, aby podawnemu nowej wojewodził drużynie.

— Miłościwy kniaże — odrzekł Kośniaczko — służyłem wiele lat grodowi memu, kniaziowi i matce Rusi; na wojnach i radach steralem wiek młody; dziś już jestem stary i bezsilny—nie mogę służyć. Dwór mój pustką stoi, choć w teremie zostało mi trochę słodkiej pociechy, została mi córka jedyna. Pozwól, kniaże, niech przy niej spokojnie wieku dożyję...

Wszesław nie nalegał.

Wojewoda, wracając do swego dworu z Kniazego Końca, zdaleka ujrzał wokoło niego zbrojny orszak konny i zaniepokoił się. Wiedział i słyszał, co lud na niego wygadywał: łatwo więc mógł przypuszczać, że zuchwalsi napałdą na dwór jego i zrabują go do szczerb. Nie żał mu było dworu i mienia, ale obawiał się o Ludę. Ale im bardziej zbliżał się, tem większa otucha napełniała mu serce. Żołnierze z orszaku, nie tylko względem niego nie okazywali wrogiego usposobienia, ale przeciwnie, oddawali poklony należne wojewodzie. Nie śmiał zapytywać, co to za ludzie, aż sam wreszcie poznał: była to straż przyboczna tysiackiego z Berestowa.

Kiedy już wojewoda zbliżył się do bramy, jeden z orszaku zapytał go:

— Czy wasza miłość pozwoli nam teraz odjechać?

— Jedźcie w spokoju — odrzekł — i Bóg wam zapłać za służbę. Podziękujcie tysiackiemu za jego dobroć i łaskę i wracajcie w spokoju do domu.

Zbliżywszy się do furty, otrok towarzyszący wojewodzie począł stukać. Nieprędko zjawił się przy okienku jakiś drab przestraszony i, wyziewając na ulicę, pytał:

— A kto to i czego chcecie?

— Wojewoda przyjechał—odpowiedziano.

Odsunęły się rygle i zawory bramy, i wojewoda z otrokiem wjechali na podwórze.

Zaledwie oddał konie czeladzi, z górniczy zbiegła Luda i ojcu na szyi zawisła.

— Późno wracam, moja synogarlico, ale wcześniej nie można było.

— Gdzieżeś bawił cały dzień, ojcze? Tak niepokojną byłam o ciebie; kiedyś na kniaży dwór pojechał, Wyszatycz ciebie szukał, był tu...

Wojewoda nachylił się do Ludy, pocałował ją w czoło, a potem rzekł:

— Dobry to chłopiec, dwór nasz swoją drużyną otoczył i strzedz go kazał. Teraz dopiero puściłem drużynę do domu.

Luda napozór niewiele nadawała znaczenia pochwałom ojca.

— Gdzieżeś był tak długo, ojcze? — powtórzyła.

— Na kniażym dworze — odrzekł zamyślony.

— Cóż, Izasław?

— Niema już Izasława... uciekł z Kijowa. Lud wyrąbał Wszesława z porubu, a metropolita go pobłogosławił.

II.

Swaty i wróżba.

Z Wszesława niewiele pociechy mieli Kijowianie. Wprawdzie, zaprowadziwszy trochę ładu po ucieczce Izasława, skompletował drużynę i przeciwko Połowcom wyruszył, niewiele jednak zaszkodził im, bo się zima zbliżyła i dzicz, jak niewiedzieć z kąd się wzięła, tak i bez wieści w stepach przepadła. Ale spokój wrócił. Był to jednak spokój, który ani Kijowianów, ani Wszesława nie zadawalał. Połowcy, pokonani zimą, a nie orężem, na wiosnę mogli wrócić znowu i rozpocząć tesame harce, a co gorsza, mógł wrócić Izasław, bo pogłoski poczęły obiegać, że się do Polski schronił i na wiosnę wybiera się na Ruś w gościnę. Pogłoski te niepokoiły Kijowianów i Wszesława. Nowy kniaź niechętnie kniażył; na stolicy siedząc, na której go Kijowianie posadzili z łaski, tęsknił do Połocka, do swego udziału i ziemi. Wyrwawszy się raz z pazurów jastrzębich chciwego Izasława, nie rad był drugi raz w nie wpadać. Kijowanie zaś, widząc niepewne zachowanie się kniazia, również niepokojnym okiem w przyszłość patrzyli.

Wśród takiej niepewności przyszła zima, a z nią święto kolady i świątki. Ożywił się stary Kijów, bo był to czas powszechnej zabawy. Koladę wszędzie obchodzono uroczysto. Oile jednak kolada była świętem zabaw mężczyzn i kobiet poważniejszego wieku i kończyła się huczniemi ucztami, otyle świątki były przeważnie zabawą młodego wieku obojej płci.

W czasie świątek obchodzono Sobótki, czyli wieczornice. Nie miały one nic wspólnego z Sobótkami pogańskimi, i nosiły tylko charakter zabawy młodzieży, zgromadzającej się wspólnie dla poznania się.

W kilka dni po święcie kolady pierwsza Sobótką wypadła w wdowy po Braczysławie, dumnym bojarynie Jarosława Mądrego. Wybrała się i Luda z družkami w odwiedzinę do ciotki.

Chociaż mróz styczniowy dokuczał nielada, przyszło jednakże kilkanaście dziewcząt. Schodziły się pojedynczo aż do zachodu słońca. Po zachodzie zamknięto bramę i furtę i nie wpuszczano już nikogo, chociaż widać było, że kilku jeźdźców i pieszych niecierpliwie oczekiwało pod bramą na wpuszczenie. Nie wpuszczano ich jednak: tak nakazywał zwyczaj. Najpierw przychodziły dziewczęta, i dopóki wszystkie nie przyszły i nie zajęły przeznaczonych dla siebie miejsc—nie wpuszczano chłopców.

W grydnicy, z lewej strony, przysposobiono siedzenia dla dziewcząt. Siedzenia stanowiły proste ławki pokryte nalawecznikami, a ustawione jedna za drugą we trzy rzędy—jeden wyższy od drugiego; z ławeczek dziewczęta mogły widzieć siedzących i wchodzących chłopców. Na niektórych ławeczkach sterczały osadzone kądzieli z nawiniętą wełną lub lnem. Grydnica oświetlona była czterema żernikami; dwa z nich, ustawione na trójnogach, stały, po jednym, z każdej strony ławeczek; dwa inne w takimsamym porządku stały po stronie mężczyzn.

Z prawej strony, przeznaczonej dla mężczyzn, były również ławki takążsamą materią okryte, ale wsunięte w głąb grydnicy, tak, że środek pozostawał wolny. Dwie ławeczki stało poprzek grydnicy przy bocznych ścianach.

Kiedy już ławki uporządkowano i żerniki zapalono, zeszły z górniczy dziewczęta i poczęły zajmować miejsca. Niektóre z nich usiadły do kądzieli, niektóre miały w ręku rozmaite ręczne roboty i wyszywania nakapkami i inne. Po zajęciu wszystkich miejsc dano dopiero znać, aby bramę otworzono. Na dziedziniec wjechało kilku jeźdźców, co niecierpliwych. Każdy z nich wchodził pojedynczo do grydnicy, wszedłszy, stał w środku i oddawał pokłon na wszystkie cztery strony, schylając się do pasa, a potem zwracał się do Braczysławowej i dziewcząt z powitaniem:

— Pokłon tobie, gospodynio, i wam krasne dziewczęta!

Dziewczęta, nie podnosząc się od roboty, śpiewały im pieśń powitalną chórem, każdemu inną. Gość kłaniał się znowu, dziękując za cześć, i siadał.

Późno w noc przyjechał Wyszatycz. Wszedłszy, pokłonił się, według zwyczaju, wszystkim, ale wzrok jego dłużej zatrzymał się po tej stronie, gdzie siedziała Luda.

Dziewczęta powitały go także pieśnią:

Nie słończko jasne na niebie —

Sława!

Ciebie Janku my witamy, ciebie.

Sława!

Wejdz do izby i usiądź wraz z nami,

Sława!

Zabawimy my ciebie pieśniami.

Sława!

Złotem, srebrem naszycia twe świecą —

Sława!

Większe iskry z twoich oczu lecą.

Sława!

Sława tobie, Wyszatyczu, sława,

Sława!

A nam z tobą wesola zabawa.

Sława!

Niechaj sława twa płynie do morza —

Sława!

A ty świec krasawicom, jak zorza.

Sława!

Wyszatycz wysłuchał powitalnej pieśni, stojąc, potem pokłonił się wszystkim, podziękował i usiadł.

Przez cały czas słuchania spoglądał na Ludę, chociaż oczy wszystkich dziewcząt zwrócone były na młodego tyśiackiego na Berestowie; w tych licznych spojrzeniach brakowało wzroku Ludy, za który Wyszatycz byłby oddał chętnie wszystkie inne spojrzenia.

Kiedy szmer w grydnicy ustał, ktoś z męskiej strony zawołał:

— Dobra pieśń! — i Bojan lepszych nie śpiewał. Teraz od nas należą się pieśni.

Kilku chłopców zwróciło się poza siebie, jak gdyby szukali kogoś oczyma.

— A gdzież to podział się Putiata? — pytano.

— Nie przyszedł jeszcze.

— Spóźnił się stary... może gdzie zamarzył na drodze.

— Nie z tych on! — żartowano — ma brodę, jak u wilka skóra — nie zmarznie!

W tej chwili posłyszano szmer, potem kilka głosów w sieni: wszystkich więc spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

Otworzyły się drzwi i na progu ukazała się postać krzepkiego starca, słusznego wzrostu, z potężną siwą brodą, okrytą strzępami namarzonego śniegu, zwykle osiadającego na brodzie i wąsach w czasie mrozu; długie włosy na skroniach były również śniegiem namarzone. Jedną połą kaftana starzec coś przykrywał, a drugą za pas założył, i tak z kółpakiem w ręku, ukazał się na progu grydnicy, a za nim postępowało jeszcze kilku spóźnionych biesiadników.

Zaledwie stanął na progu, kiedy w izbie powstało zamieszanie i głosy, to męskie, to niewie-

ście, naprzemian powtarzały z pewnym zadowoleniem:

— Putiata! Putiata!

Braczysławowa zbliżyła się do starca.

— W dobry czas przychodzicie — rzekła — czekają na was i na wasze pieśni.

Putiata podniósł nieco pochyloną głowę do góry i bystrem okiem obrzucił całe zgromadzenie.

— Jest dla kogo śpiewać, aby głosu stało...

Braczysławowa prowadziła go do ławeczki, umieszczonej pośrodku izby pod ścianą.

— Siadajcie, ojcze... i gęśł waszą odkrycie... tu nie zmarznie — dodała żartobliwie.

— Dobrze, dobrze — tylko proszę was, boja-ryniu...

Schylił się do ucha Braczysławowej i coś szepnął. Gospodyni znikła, a po chwili dziewczka służebna wniosła koneweczkę miodu i czaszę; za nią postępowała Bogna Braczysławówna.

Zatrzymała się przed Putiatą i pokłoniła się do pasa.

— Miód przynoszę... Niech wasza miłość przyjmie z rąk moich czaszę.

Stary poglądził brodę i uśmiechnął się do Bogny.

— Przyjmę, przyjmę, moja zorzo jasna...

Putiata na niewielkim stołeczku postawił obok siebie konewkę z miodem i puhar nalany, z którego co chwila po łyku nadpijał, a tymczasem gęśł, wyjętą z pod poly kaftana, poczęł pomału nastrojać i, rozmawiając z dziewczętami i z chłopcami naprzemiany, brał po kilka akkordów i urywał.

Dziewczęta przędy, śmiały się i rozmawiały półgłosem.

— Putiata! — wołali mężczyźni — miodu daremnie nie pijesz... trzeba śpiewać... od nas należy się pieśń...

Putiata gęśł ujął i grał coś—bez treści; z jednego taktu przechodził w drugi, jakby szukał właściwego tonu, i półgłosem przyspiewywał sobie, miód popijając:

Ponad Łybedią lecą sokoły,

Lecą nad jary, lecą nad doły...

Oj, nie te lata! za sokołami

Już mi dziś tylko pędzić myślami...

Kiedy wszyscy uwagę natężyli do słuchania pieśni, a w grydnicy cisza się stała, że ledwie warczenie wrzecion słycać było, Putiata nagle urwał śpiew i zakończył go przegrywką na gęśli.

— Dalej Putiata! — wołano.

— Nie podpędzajcie starego, jak leniwego konia — bronil się — pozwólcie zaśpiewać coś po myśli.

Znowu uderzył po strunach—i znowu cisza zapanowała.

Putiata śpiewać począł.

Oj, w czystym polu stoja namioty...

W jednym namiocie stół szczerozłoty,

A na tym stole czasie i rogi

A w czasach, rogach—wino, miód drogi.

Przy czasach męże siedzą gromada,

Dzielni—jakgdyby sokołów stado

I powstał jeden, podniosłszy głowę,

Braciom sokołom taką rzekł mowę:

„Nie mam gdzie, bracia, myśli mej schować:

Po co tu siedzieć? czas nam bojować!

Połowczyn pali miasta i grody,

Z Łybedi nie da zaczerpnąć wody

I rozpuściwszy dzikie zagony,

Zapędza w jassyr siostry i żony...

Wstyd nam tu spijać miody i wina,

Kiedy nas straszny miecz Połowczyna.

Siodłajmyż, bracia, koniki wrone,

Przypaszmy miecze dobrze ostrzone:

Trzeba nam jechać nad Alty wody...

Tam kruki sobie sprawiały gody—

Tam białe kości biełają w trawie

I urągają naszej niesławie...

Starzec śpiew przerwał i na gęśli przegrywał śród ciszy.

— Putiata! po cóż nam jak puszczyk smutne pieśni śpiewasz? Poszukaj lepszych...

— Nie wiem, jakie lepsze — odrzekł Putiata, podnosząc głowę od gęśli i, prowadząc okiem po zgromadzonych.

— Dalej, dalej śpiewaj... tęsamą — wołali inni.

— Skończyłem... chcieliście, abym śpiewał w waszem imieniu—śpiewałem, mężom nie przystoju niewieście pieśni...

Bracysławowa odezwała się do Putiaty:

— Nie gniewajcie się na miód... bądźcie łaskawi... jeszcze jedną czasę; posilcie się trochę; może wam jaka weselsza piosnka na usta przypłyne.

— Dobrze mówicie, bojarynio—na czym wozie jedziesz, temu pieśni śpiewaj.

Ujął gęśl znowu i grać począł:

Leciał orzeł nad doliną
Spoglądał z wysoka
I patrzył się jak drożyna
Biegła czarnooka.

Nie leć, nie leć, orle szary,
Nie bujaj po niebie.—
Nie bież, dziewczę, bo tam czary
Czekają na ciebie....

Dziewczęta zataiły dech w sobie, słuchając, i prąść przestały, ale Putiata śpiew nagle urwał.

Schyliwszy głowę nad gęślą, zakończył jakąś przegrywką luźną i na struny patrzył.

— Ojczel!—i koniec?—pytały dziewczęta.

Putiata podniósł głowę od gęśli i na ławeczki, gdzie dziewczęta siedziały, spojrział.

— Stary jestem — rzekł — nie mogę już śpiewać...

— No, to skazkę powiedz... — prosiły rozkołysane pieśnią dziewczęta.

— Powiedz stary, nie daj się prosić — odezwały się mężkie głosy.

Putiata milczał, jakby zachęty nie słyszał, coś przypomniawszy sobie.

— Dobrze, skazkę powiem — rzekł pomyślawszy.

— O królowie zaklętej — proszono.

— O zmii, czarowniku i królewiczu Wali-górze...

Putiata uśmiechnął się.

— Wszystkich razem nie powiem.

— Jaką chcesz taką powiedz...

Putiata gęśli z kolan nie zdejmował i, trzymając ręce na strunach, rozpoczął opowiadanie:

„Za lasami za górami, za szerokimi rzekami, żył w jaskini żmij skrzydlaty...”

Cisza zrobiła się w izbie, jakby kto mak siał¹⁾. Putiata, głaszcząc brodę, wodził okiem po dziewczętach, siedzących na ławkach i skazkę opowiadał dalej:

„...latał po nad ziemią, porywał dziewczęta od ojca i od matki i zarosił je do smutnego kraju, gdzie niema ani słońca, ani gwiazd, ani księżyca. Zlatywał cicho na zaśpiewane, otaczał im szyję ognem w zielone łuski i odlatywał niewiedzieć gdzie z niemi; którą tylko upodobał sobie, żadna nie mogła wyrwać się z jego uścisków....

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1888 r.

Pora Świętojańska ożywiała niegdyś miasto nasze zjazdami obywatelskimi, ale nie od dziś już zatraciła dawny swój charakter, potęgując

raczej świadomość obecnej niedoli nowych kłesk szeregiem. W tym-to czasie od lat dwóch komisya kolonizacyjna najgwałtowniej swe zagony rozszerza, korzystając z rolniczego przełomu, który bardzo wiele nieszczęśliwych przyprawi o utratę ojcowizny. Ostatnie tygodnie wyrwały nam znów zpod stóp do dziesięciu tysięcy morgów, a kto odgadnie: ile nam się ich jeszcze w najbliższych dniach z rąk wysunie? Powszechny nieurodzaj, idący śladem długiej i ciężkiej zimy, nie uszczupli funduszków kolonizacyjnych; ułatwia tylko ich przystósowanie i przyspiesza zamierzony skutek wywłaszczenia.

Wznowione studia słowiańskie przypomniły nam świeżo, z jak odległych kresów nieubłagany *Drang nach Osten* wypiera odporne żywioły. Wszak aż po Hamburg sięgały słowiańskie ziemie i słowiańska mowa, Łaba była rzeką graniczną rozdzielającą dwa światy, germański i słowiański, a dziś plemię Arminiusza pcha się za Odrę, za Wartę, za Prosnę, za Wisłę—*nur weiter—immer weiter nach Osten!*

Nie sądzcie jednak, aby ten historyczny pesymizm i bieżące troski przyprawiły nas o bezczynne zwątpienie. Ręk nie zakładamy, tylko niestety! ręk tych coraz mniej, jedne skrepowane nieprzyjawnymi warunkami, drugie kosztują przedwczesnej śmierci chłodem. — Losem naszym: chyba na grobowcach siadać. Idące ztąd odgłosy, wstają częściej z cmentarzy, niż zpośród żyjących. Świeżo odprowadziliśmy znów na miejsce wiecznego spoczynku męża, zajmującego wydatne wśród nas stanowisko. Wystarczy przypomnieć, iż śp. Władysław Wierzbński przez lat dwadzieścia był posłem, a od siedemnastu stał na czele redakcyi *Dziennika Poznańskiego*, który, zaiste, ciężkie przechodzi próby, tracąc w krótkim czasie dwa swoje filary: Kazimierza Jarochowskiego i Wierzbńskiego. Nie tu miejsce rozpisywać się nad życiem tego ostatniego. Przejciętne nasze przeznaczenie skrytalizowało się w jego losie. Ciężkie zawody po złudnych nadziejach, bezowocność usiłowań, długie dni więzienia, zacieśnienie materyalne — wszystko to znalazło się obficie we względnie krótkim dni paśmie. Koło polskie traci w Wierzbńskim dobrego mówcę. Nie brakło też hłdów pośmiertnych na tej nowej mogile, choć gorycz żaloby znika przy dzisiejszych pożegnaniach i na każdym pogrzebie miałyby się ochotę zanucić pieśni starych pogańskich Litwinów, winszującą nieboszczykom odejścia z ziemi, gdzie krzyżackie przewodzi plemię.

Wśród obecnych stosunków naszych dziwne wrażenie sprawiało minionej Niedzieli uroczyste odśpiewanie *Te Deum* za grunwaldzkie zwycięstwo po wszystkich świątyniach naszej archidiecezyi. Zachowany z dawniejszych czasów rytuał przepisuje na dzień 15 Lipca osobne modlitwy dziękczynne, które upamiętniają wielką, lecz nie dostateczną Krzyżaków porażkę. Dźwięki hymnu ambrozyjańskiego rozbrzmiewały najwymowniej pod stropami naszej starej katedry, objając się o grobowce Mieczysława i Bolesława Chrobrego i o liczne pomniki zalegające nawy kościelne, z których jeden nosi tylko jednosłowną a wymowną napis: *Utinam!*

Ale i w gnieźnińskiej katedrze, starszej siostrzycy naszego tumu, nie braknie pamiętek i pomników przeszłości, i owszem, poczet ich rośnie po dziś dzień czujną wdzięcznością społeczeństwa dla minionych zasług i świetnych nazwisk z dawnych, lepszych czasów.

Sędziwy dr. Szokalski podczas zjazdu przyrodników polskich w Poznaniu rzucił myśl uczczenia pamięci braci Śniadeckich stosowną w Gnieźnie tablicą. Wiadomo, iż uczeni ci urodzili się w Żninie, własności kapituły Ś-go Wojciecha. Obecnie rok ich jubileuszowy przyspieszył wykonanie zamierzonego hołdu. W dniu 25 Czerwca umieszczono w kaplicy zwanej doktorską piękną tablicę marmurową z następującym napisem: „Janowi i Jędrzejowi, braciom Śniadeckim wielce zasłużonym wobec nauki Narodu Polskiego, wdzięczni rodacy. 1884.”

Cofnięcie daty upamiętnia poznański zjazd przyrodników, który ową tablicę uchwalił. Spy-

tacie może: zkąd nazwa „doktorskiej“ przyznana kaplicy, gdzie trafnym wyborem zamieszczono płytę poświęconą Śniadeckim? Otóż znajduje się tamże piękny nagrobek Wincentego Oczyki, słynnego lekarza z XVI wieku, oraz Tomasz Jozycyusza, doktora obojga praw, którzy obaj byli członkami kapituły gnieźnińskiej i serdeczną związaną przyjaźnią, za życia sobie wspólny zgotowali grobowiec, umieszczony naprzeciw ołtarza. Obaj klęczą przed krzyżem Zbawiciela do którego jeden odzywa się słowami psalmisty: *Opus manuum tuarum, Domine, ne despicias* (Dziełem rąk twoich nie wzgardź, Panie) podczas, gdy drugi poleca się miłosierdziu Bożemu: *Tuis sum, Domine; miserere mei* (Twój jestem, Panie, zmiłuj się nademną). Kaplica, ozdobiona freskami z życia św. Jana Nepomucena, niebawem ma być odnowioną. Ze szczególną uroczystością nastąpiło wprawienie tu tablicy Śniadeckich, których pamięć odświeżył znów hr. Dębicki w swej cennej monografii Puław, gdzie z powodu stosunków Jana Śniadeckiego z ks. Generałem Ziemi Połolskich trafną podał charakterystykę wielkiego naszego matematyka i astronoma, który nie zagłębiał się w badania gwiazd tak dalece, aby już zupełnie przez to z oczu stracił wypadki toczące się po kuli ziemskiej. Owszem śledził on z zajęciem obroty polityki i drogi myśli ludzkiej, a p. Dębicki trafnie w nim upatruje pierwowzór zachowawcy w najlepszym onego słowa znaczeniu, wykazując powinowactwo zasad i ducha, zaiste, uderzające, między Janem Śniadeckim a Józefem Szujkim.

Inny jeszcze pomnik niebawem stanie w Gnieźnińskiej katedrze. Słuszna jest, aby jej historyk doczekał się osobnego grobowca obok tych prymasów, kanoników i prałatów, których dzieje tak skrętnie zapisywał. Postanowiono tedy ze składek wznieść nagrobek dla nieodżałowanego biskupa nominata Korytkowskiego. Tymczasem próżnię wyrwaną przez jego śmierć wypełnił godny swego poprzednika następca i zastępca ks. dr Łukowski, zasłużony współwydawca gnieźnińskiej „księgi beneficjów” (*Liber beneficiorum*), i równy miłośnik skarbcza pamiętek i zabytków, nad którym tak czujną i czynną straż sprawował zmarły świeżo dziejopis katedry i kapituły gnieźnińskiej.

Nie trzeba atoli mniemać, abyśmy tylko ze zmarłymi obcując, zasklepić się mieli w żalonych zwrotach ku przeszłości. Troska o przyszłość niejedne podsyca zabiegi, udaremuiane, jak to wam już nieraz napomknąłem — brakiem pieniędzy — i ludzi. Bank ziemski z onych dwóch powodów nie dochodzi do skutku. Brak kapitału trzymilionowego, który się zebrać nie dał, oraz utrudnienie parcellacyi przez publiczną instytucyą, powstrzymuje dotychczas wszelką ratunkową działalność. Dyskussya przeciągła zgromadzonych założycieli i akcyonaryuszów w d. 13 Lipca do żadnego pozytywnego nie doprowadziła rezultatu. Uchwalono wprawdzie znizenie kapitału zakładowego, do 1.200.000 marek, ale nie wybrano nowej rady nadzorczej, i wszystkie postanowienia zostały odroczone do następnego nadzwyczajnego zebrania, zwołanego na dzień 14 Sierpnia.

Jeśli, niestety! zbyt często narzekać tu muszę na brak mężów wybitniejszych w społecznych naszych robotach, przyczyny tego niedostatku szukać potrzeba, nietyle może w wyjąłowieniu umysłów i spospolitowaniu charakterów mustrą pruskiego szkolnictwa, ile raczej w rozproszeniu sił naszych, szukających nazewnątr odpowiedniejszych swemu rozwojowi warunków. Boć przecież nie brak Wielkopolan na szlakach nauki i pracy, a każda okoliczność wywodzi w pierwsze szeregi synów naszej dzielnicy, wypartych ztąd istic macoszemi stosunkami. Uderzyło nas np., iż wśród szczupłej reprezentacyi polskiej przy jubileuszowych obchodach Bolońskiej Wszechnicy, aż trzech znalazło się Poznańczan, w osobie profesorów: Kazimierza Morawskiego, Ludwika Œwiklińskiego i Jerzego Mycielskiego, przedstawicieli Krakowskiej i Lwowskiej Wszechnicy; głównym zaś darem, złożonym święcącej ośmiowiekowe swe istnienie szkole w imieniu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Umiejętności, było wspaniałe i staranne wydanie łaciń-

1) *Provincjonalizm* — aluzya do cichy pogoty. (P. Aut.)

skiej spuścizny Wielkopolanina, Andrzeja krzyckiego, dokonane przez profesora Morawskiego. Snaż tylko kwas pruski neutralizuje przyrodzone dary i dość jest innemu odetchnąć powietrzem, aby rozwinąć skrzydła myśli i zahartować ducha łamiącego się na naszym gruncie. Emigracja nie samych tylko włościan ztąd wyprowadza, nie po samą sięga Amerykę... ale i to zamorskie wychodźstwo dziś się potęguje, a najnowsza statystyka dowodzi, nietylko zwiększonego prądu emigracyjnego w obszarze państwa pruskiego, lecz i przewagi Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich w owych zamorskich gminoruchach.

Mimo nader niepomysłnych warunków rozwoju, przemysł nasz, choć w skromnym zakresie, usiłuje jednak iść w parze z międzynarodowym postępek i na międzynarodowych też popisach wytrzymać porównanie. Ornaty haftowane zło tem i jedwabiami w Poznaniu, pokaźne na wystawie watykańskiej zajęły miejsce. W Glasgowie osobne uznanie zaszczyliło wytworne z działu bielizny roboty zakładów panny Wandy Karłowskiej w Poznaniu. Berliński targ opasów rokrocznie wyróżnia nagrodami bydło w Poznańskim tuczone. Obecnie fabryka syropu we Wronkach, należąca do banku „Kwilecki, Potocki i Sp.“ a licząca dopiero drugi rok istnienia, występują naraz na dwóch wystawach, w Brukseli i Melbourne. Pierwszy to bodaj raz wyrób poznański do Australii się zabłąkał.

Śmierć cesarza Fryderyka bolesnem echem odbiła się o naszą dzielnicę. Charakterem i skłonnościami zwiastował on panowanie przypominające epokę rządów stryja swego, Fryderyka Wilhelma IV, który zostawił dla nas wdzięczną po sobie pamięć. Odwiedziny cesarzowej Wiktorii były nam ręką dui pomysłniejszych, a przyjęcie jakiego wśród nas doznała, dało jej zakosztować niemal jedynych chwil królewskich w jej przelotnem, zamąconem krwawą troską królowaniu. Ku niej też i ku nowym próbom, jakie jej sercu zgotowała wrzawa lekarzy wznawiających pogrobowe kłótnie w kwestyi choroby jej małżonka, zwracają się myśli nasze ze społecznym i pewną wspólnością żaloby. Podobno pragnie ona upamiętnić ów dzień jedyny w stolicy wielkopolskiej, i przeznaczyła osobnym darem cenne dzieło rzeźbiarskie, które ma ozdobić jedną z fontan miejskich.

Obecnie miasto nasze pustejsze i cichsze, niż kiedykolwiek. Wakacje szkolne wypróżniały wszystkie zakłady naukowe; świat urzędowy podobnież wyległ na różnego rodzaju willegiatury. Teatr zamknięty, a grono naszych artystów odwiedza pokolei różne prowincyi naszej miasteczka, zbierając oklaski i sutsze, aniżeli w Poznaniu, dochody. Dobroczynne zabiegi promotorów kolonii wakacyjnych uwieńczone zostały dość pomysłnym skutkiem. Kilkaset dzieci poznańskich znalazło znów serdeczną po wsiach gościnę, tem pożądaną w tym roku, iż następstwa powodzi i materyalnie i sanitarnie zawisły nad dziatwą ubogich części miasta naszego. Nietylko zaś higieniczne korzyści odnosi drobiazgi dziecięcy z pobytu swego na wsi. Prócz mleka i owoców i powietrza, piją one i nasycają się otoczeniem rodzimem, i nieraz wynagradzają szkolne niedostatki wyuczeniem się podczas wakacji tego, czego dziś urzędowe wychowanie dać im nie chce.

Wiece chwilowo u nas ustały, jak to zwykle bywa podczas letnich prac i znojów; większe atoli zebrania raz po raz się odbywają. W ostatnich dniach np. katolicy szlązcy zgromadzili się w Bytomiu, a wśród mów niemieckich znalazły się i polskie, uwzględniające licznych wicowników z ludu, strzegącego pilnie skarbów mowy ojczyznej. Lecz i arystokracja szlązka dość powszechnie zna i rozumie język swych dawniejszych przodków i dzisiejszych podwładnych, i kto wie, azali się w niej kiedyś nie zbudzą słowiańskie tradycje, związane z historią rodów i brzmieniem nazwisk, zniemczonych raczej ortografią, aniżeli brzmieniem. Zapewne, nie dziś nam się spodziewać podobnego zwrotu, wszelako przykład Czech, tak wytrwale zrzucających z siebie skorupę wiekowej germanizacji, aby się

w słowiańskim kierunku rozwijać i utwierdzać, pozwala przypuszczać w mniej lub więcej odległej przyszłości rozbudzenia pierwiastków, zgłuszonych dziś siłą militarysty i powodzenia czarem. W takich rzeczach przedewszystkiem trzeba ludzi. Niechby Szlązki doczekał swoich Riegierów i Palackich, a niejedno zamarłe echo odpowiedziałyoby na ich głos i wezwanie.

LIST Z WŁOCH.

Rzym 15 Lipca 1888 r.

(Dokończenie).

Za czasów starej Romy wznosiła się na północnem wybrzeżu Adryatyku bogata osada Altinum, a mała wysepka, zwana dziś Torcello, służyła jej mieszkańcom za miejsce letniego pobytu, tworząc jakby jeden wdzięczny ogród, pełen willi i posągów, aż w 452 r., hordy barbarzyńców rozpuściły swe zagony wzdłuż Adryatyku i kto mógł uciekał na pobliską wysepkę, która zaludniła się w ten sposób, podobnie, jak i Wenecya, gdzie również na kawałku ziemi wśród lagunów schroniła się, także w V wieku, garść ludzi uciekających z Padwy pod grozą mordu i rabunku dzicy. Herezya Aryanów przyłożyła się z kolei do trwałego zamieszkania Torcello. W VII wieku (635 r.), biskup Paweł rzucił kłębę na mieszkańców Altinum i unosząc ze sobą relikwie zabrane z kościołów, znieważonych przez herezyę, uszedł z garstką wiernych na wysepkę, gdzie wkrótce została wzniesiona katedra, a pod następcą jego biskupem Maurycym, zbudowano jeszcze kilka bogatych kościołów i klasztor Augustyanów. Miejsce stało się świętem, zaczęły się tu dzieła cuda, tysiące pielgrzymów przybywało z całego pobrzeża Adryatyku, niosąc wota i ofiary, ja, zaś, pątnik ze stron dalekich, spotkałem się tu z marą przeszłości, wyglądającą do mnie z murów starych.

Plac, na który się wysiada, przybywszy do miejsca wylądowania, jest z trzech stron otoczony murami. Na wprost przystani dźwiga się przed oczyma przybysza część dawnego pałacu biskupów; na lewo stoi starożytny gmach, niegdyś *Palazzo Comunale*, to jest ratusz, obecnie muzeum, pełne ciekawych pamiątek z czasów panowania tu jeszcze Rzymu. Nakoniec po prawej ręce najpierw wspaniałe baptystorium, a w głębi katedra i dzwonnica, tak niegdyś śmiało strzelająca w górę, że nazwano ją *Turris Coeli*, od czego cała wyspa miała otrzymać nazwę, dziś przerobioną przez gwarę ludową na Torcello.

Obecnie starożytna dzwonnica jest niższą o jedną trzecią dawniej wysokości. W 1648r. uderzył w nią piorun i stracił wierzchołek, strzelający zuchwale w niebiosa, lecz i tak wysokość jest ogromna i trudno nam opisać wrażeń doznanych, gdy po starych, wązkich schodach wydosłał się na szczyt, z którego ujrzany widok przedstawił obraz, jakich niewiele podróżnik nowożytny oglądać może.

Wysepka ukazuje kilkanaście małych domków, zamieszkałych przez ubogą dziś, wieśniaczą i rybacką ludność. Przed każdym domkiem ogród niewielki, ale bardzo starannie uprawiony, przecież w żadnym z nich nie dojrzyysz drzewa, bo to magnat roślinny, a ludność tutejsza uprawia małe kawałki gruntu, które muszą żywić całą rodzinę. Działki te otaczają tylko żywopłoty, które dla widza, zwłaszcza z góry, przedstawiają się bardzo wdzięcznie, bo pną się po nich girlandy powoi z różnobarwnymi kielichami, które teraz właśnie pootwierały się, zwracając się za porannem słońcem. Tylko nad kanałami i wśród bagnisk rosną dzikie, bezpańskie olchy i środek wyspy, w którym zajmują dużo miejsca błota naprzemian z piaskami, nie należy do nikogo, a raczej należy do niezmiernie licznych stad wodnego, morskiego ptactwa, które, gdy

zestrąszone czem, zerwie się do góry, tworzy widok rzadki dla mieszkańca zaludnionych krain, bo są to chmury skrzydlate, które gdy leżą po nad tobą kraczące, doznajesz dziwnego wrażenia, jakgdyby snu z jakiegoś dantejskiego widzenia. Mój przewodnik urządził mi to widowisko nieopisane — ptaki tak leciały mi ponad głową, że m czułem powiew ich skrzydeł.

W dali za lagunami widać ztąd wieże Wenecyi, jakgdyby występujące z morza; widać wysępki, rozrzucone malowniczo; od strony północy mającą w oddaleniu zarysy alp tyrolskich, a całą tę szeroko otwartą przestrzeń widnokregu napęlnia przejrzysto-perłowe powietrze, nieznanne naszym krainom północnym. Zarysy brzegów malują ci się przed oczyma błękitnymi liniami.

Zszedłszy na dół zwiedziłem potem starą katedrę, nie tę przecież, którą tu zbudował, ongi biskup Paweł, ale już dzieło XI wieku. Świątynia ta, trzymana w poważnym, surowym tonie, pozbawiona ozdób i tych barw żywych, do których oko przyzwyczaja się we Włoszech, wywiera bardzo uroczyście wrażenie. Do rzeczy najbardziej tu ciekawych należą stare mozaiki ścian, przedstawiające Mękę Pańską, Sąd Ostateczny, Chrystusa w gloryi Zmartwychwstania.

Stara świątynia, wraz z *Turris Coeli* poza sobą, cofnięta jest nieco w głąb; na pierwszym planie stoi wspaniałe baptystorium, wzniesione w IX wieku pod wezwaniem S-tej Toski, szlachetnej panny, która poniosła męczeństwo za panowania cesarza Decyusza. Obecnie biskup chrzci tu dzieci dwa razy do roku, a budynek to jest bardzo piękny, ośmiokątnej kształtu, teraz, niestety! wybielony, więc bez śladu dawnych fresków, ale perystyle, które otaczają go wokoło, same już wynagradzają podróżnikowi trud odbytej tu wycieczki.

Puściłem się w głąb wysepki, pieszo, a potem gondola poniosła mnie łachami morskimi, których brzegi zarasta najpyszniejsza zieloność. Grunt wyspy jest niezmiernie żyzny; gdyby użyto tu do pomocy drenów, cała ta oaza morska stałaby się znów, jak niegdyś, jednym gajem, jednym ogrodem, bogacąc płodami swemi ubogich dziś mieszkańców. Ale zdaje się jakoby ziemie bardzo starych zaludnień nie miały już mocy wydawania rodów energicznych i na całej wenecjańskiej połaci kraju spostrzeżenie to sprawdza się wybitnie. Wszędzie przeszłość większą, wspanialszą jest od terażniejszości. W XVI wieku liczone ludność wyspy na 1.200 osób; w 1780 już się tu znajdowało tylko 200 głów, obecnie zamieszkuje wyspę kilkanaście ubogich rodzin, a obsługę kościelną spełnia tu jeden ksiądz, który zarazem jest nauczycielem gminnym.

Murano zasługuje też na opis, bo pomijając już stary przemysł tutejszy i przepyszne okazy wyrobów szkła kolorowego, są tu jeszcze, jak na każdym niemal kawałku ziemi włoskiej, pamiątki historyczne i mury stare, godne widzenia: wspaniała i klasycznie piękna katedra z X wieku, wzniesiona kosztem cesarza Ottona Wielkiego, na skutek ślubu, który uczynił w czasie wielkiej burzy na Adryatyku, iż zbuduje tu bogaty kościół, poświęcony czci Matki Boskiej. Stara katedra jest też pod tem wezwaniem. Nie istnieje tu już niejeden szczegół artystyczny dawnego budownictwa, przepadła niejedna piękność dawna i ogólnie przyemil się tak blask dawnej świetności, jak mury poczerniały od dymu fabryk parowych. Kto przecież z czytelników moich znajdzie się tu kiedy, niech zwróci uwagę na przepyszną posadzkę mozaikową z XII wieku w spokojny deseń gryffów, paw i kolibrów. Niech również podniesie wzrok na postać Najświętszej Panny, także w mozaice, która z wyniosłości sklepienia głównej nawy spogląda poważnym, spokojnym, smętnym nieco wzrokiem na świątynię, już dziś niezapełniająca się takim, jak dawniej, zbitym, gorąco rozmodlonym tłumem. Samotnie stojąca, bez orszaku aniołów, bez świętych, w szacie błękitnej, na tle złotem, ta Bogarodzica ze starej świątyni włoskiej idzie niejako za podróżnym i wbija mu się w pamięć na niezapomnienie.

Niezapomnianym też nigdy będzie dla mnie ten dzień spędzony na lagunach weneckich. Wopis

Oblubienicy Adryatyku wdawać się już nie będą. Nie może on być dokonany tak w krótkości, jak do tego zakres listu zmusza, przytem mam jeszcze względem was zaległość danego słowa co do uroczystości ośmsetletniej rocznicy najstarszego na świecie uniwersytetu: *Alma Mater* bolońskiej, czy bonońskiej, według dawnej pisowni. Żem się z tem zapóźnił, nie będę wracał do opisu ceremonii, jakie miały tam miejsce. Wszystkie takie obchody włoskie noszą na sobie cechę nieopisaną powagi i wspaniałości, a to przez starożytną i klasyczne formy swoje. Ale jest tu jeszcze szczególnie jeden, który wiąże nas ze starożytną tą szkołą węzłem, można powiedzieć wdzięczności. Wszechnica bolońska szczególnie przyciągała do siebie młodzież polską w wiekach odrodzenia nauk i uczniami jej było wielu naszych mężów, sławnych potem w dziejach narodu, jako statystyki, prawnicy, pisarze. Można też powiedzieć, że przyszedł nam z tamą niejednym promień światła, który się odbił wpływem swoim w rozwoju nauki i cywilizacji naszej.

Nawzajem niejednym Polak zajaśniał tam w szeregu mężów nauki i światłem swoim rozszerzał ten krąg świetlany, którego blaski rozchodzą się po świecie. Pierwszy rodak nasz, o którym wiemy, że się tu kształcił w XIV-tym wieku, Jarosław Bogorya ze Skotnik, później arcybiskup gnieźnieński, był tam również profesorem prawa kanonicznego. W wieku XV Marcin Polak wykladał tu astronomię i astrologię, a jednocześnie z nim Wojciech z Krakowa zajmował katedrę filozofii, etyki i medycyny, a dalej w 1469 r. Jakób Polak wykladał matematykę; w r. 1471 Jan Boski, w 1479 Mikołaj Polak—astronomię.

W XV wieku byli też studentami uniwersytetu bolońskiego: Mikołaj z Błonia, doktor prawa, następnie kanonik warszawski i poseł na sobór bazylejski; Marcin Polak, teolog i arcybiskup gnieźnieński; Piotr Tomicki, sekretarz Zygmunta Starego Andrzej Krzycki; poeta, piszący po łacinie.

Kopernik jadąc do Rzymu, aby wykladać astronomię, zatrzymał się w Bolonii i słuchał wykładów Dominika Marii z Ferrary.

Związków tych czas nie potargał, bo oto między wykładającymi na wszechnicy bolońskiej znajduje się słodki nasz poeta: Lenartowicz i p. Malwina z Rudzińskich Ogonowska, o której wskutek zajmowanego tam stanowiska powiedzieć można, że jest pomiędzy kobietami naszą jedną z gwiazd pierwszorzędną wielkości. Urodzona w Wilnie 1837 roku, kształciła się w Warszawie na pensji p. Conradi. W piętnastym roku życia straciła ojca a razem z nim byt niezawisły, musiała pracować jako nauczycielka nie tylko na chleb własny, ale matki i rodziny, pozostając już wciąż w Warszawie, gdzie w 1861 r. wyszła za Hieronima Ogonowskiego i zamieszkała z nim na wsi, ale ciche te życie trwały krótko. W lat kilka po ślubie żona towarzyszyła mężowi do Krasnojarska, później do Tomska. Lecz mąż zaczął chorować pod klimatem tamtejszym; przeniesiono go po pewnym czasie pod łagodniejsze niebo Rosyi, aż w końcu, otrzymawszy około 1880 r. paszport zagranicę, małżonkowie wyjechali do Włoch.

Mąż wkrótce umarł w Bolonii, i wtedy, w 1882 r., smutna, samotna kobieta uciekła się poociechę, po utuleniu boleści do nauki. Wskrzyszając starą tradycją dawnych niewiast włoskich, które tu zajmowały katedry, rozpoczęła w 1882 r. wykłady języków i literatur sławiańskich, wśród czego szlachetna ta pani potrafiła wyrobić sobie imię niepospolitej, wyższego umysłu i serca kobiety.

Pensji żadnej nie pobierała, była to więc do stojna praca dla nauki i idei.

Aby przecież zrozumieć, jaką praca owa z konieczności być musi, trzeba sobie przypomnieć, że wymaga ona przygotowania, wyciągów, cytata. Zdważają się to przecież z przyczyny, że prelegentka, jak niemal każda kobieta, dochodząca już do takiego stopnia wykształcenia

umysłu, musi być samouczkiem i potrzebuje zastępować sobie przez studia własne te braki szerszych, głębszych, wiadomości, jakich nie dała jej szkoła—nauka pensyonarska, zwłaszcza z epoki jej lat dziewczęcych.

Przecież wszystko to zostało zwyczajko pokonanem. Czcigodna ta pani nie tylko uczy, ale i wyucza; jej—to uczniowie garną się do przekładów z języków sławiańskich, jej uczniowie stają się gorącymi przyjaciółmi sławiańskich narodów i zainteresowane się ich historią, ich dolą, wzrastają. A wykładowi literatury naszej słuchają nie tylko studenci, ale bywa na nich i publiczność bolońska, która ogólnie okazuje Ogonowskiej wielkie uznanie, cześć wielką.

W opracowaniu historii naszej przez dzisiejszego ministra Correntego, która wkrótce ma wyjść z druku, brała też ona udział i dostarczała potrzebnych wskazówek dla doskonalszego zrozumienia faktów historycznych. Należy jeszcze dodać, że pracuje bardzo pilnie i w Akademii Mickiewicza, pracuje od rana do nocy, zawsze i we wszystkim bezinteresownie. Przytem obznajamia szersze koła publiczności włoskiej z naszą literaturą, tłumacząc z naszych najlepszych autorów i czyniąc nad nimi studia. Ostatnia z jej prac poważniejszych jest z tego zakresu: „Studium krytyczne nad Zygmuntem Krasieńskim.

Wiem, że pisze ona obecnie historię literatury naszej, jako podręcznik dla słuchaczy jej wykładów w uniwersytecie. Wiem również, że przygotowuje do druku pamiętniki swoje: cztery grube tomy rzeczy bardzo dobrze napisanych i zajmujących, zwłaszcza dla czytelnika włoskiego, który naszego życia, naszych zwyczajów i obyczajów zna mało. A gdy się przytem wszystkim pomyśli, że ta kobieta umiała być najlepszą żoną chorego, zbiedzonego męża: że umiała spełniać i spełniała święte wszystkie obowiązki kobiety zacnej—przeszła przez życie czyste i szanowana, bez żadnej poży emancypacyjnej, nie roszczonej sobie żadnych praw moralności wyjątkowej na zasadzie wyjątkowego między kobietami stanowiska, uczuwa się dla niej uszanowanie i życzliwość głęboką.

Od czterech lat dopiero została jej przyznana pensja—mała: 500 lirów rocznie, a i ta pochodzi z osobistej szkatuły króla Humberta, który życzył sobie, aby szlachetna profesorka była mu przedstawioną, i przyjął ją bardzo łaskawie. Dowód to jest opinii, jaką sobie tu wyrobiła—sympaty, jaka ją otacza i wynagradza wiele innych smutnych braków jej życia.

Ta nasza uczona przypomina mi poprzedniczki jej na wszechnicy bolońskiej i obowiązek dokładniejszej o nich wiadomości, niż wzmianka uczyniona w liście poprzednim. Pierwszą między nimi jest Klotylda Tambroni, zajmująca katedrę grecczyzny na początku bieżącego stulecia. Posadzona o brak przekonania republikańskich, została z urzędu swego złożoną, lecz przywrócono go jej na osobisty rozkaz Napoleona I-go, który nie lubił takich pozujących literatek, jak p. de Staël, ale umiał cenić zasługę prawdziwą, a Tambroni była podówczas najwyższą powagą naukową w rzeczach greckich na Południu Europy i epitet jej widnieje do dzisiaj, wypisany na wielkich drzwiach uniwersyteckiego gmachu. W muzeum anatomicznym znajduje się popiersie signori Mazzolini, która wykladała tu niegdyś anatomię i była jej profesorem regularnym. Laura Bassi wykladała w wieku XVIII nauki fizyczne i miała stopień doktora filozofii, przyznany przez tutejszy uniwersytet, na którym poprzednio studiowała. Wykłady jej trwały bez przerwy lat trzydzieści. Rozpoczęła je mając lat dwadzieścia jeden, a była obok tego zamężną i matką jedenaściorga dzieci. Włoski jej biograf, z którego szczegóły te czerpię, pisze, że godziła umiejętnie wszystkie swe obowiązki i z wszystkich wywiązała się „dobrze i uczciwie.“

Marya Gaetana Agnesi została przyjętą do grona uniwersyteckiego i objęła katedrę profesora nauk matematycznych w 1758 r. w sposób nieco wyjątkowy. Ojciec jej miejsce to zajmował, lecz raz, zachorowawszy, córce, którą sam

w naukach kształcił, wyręczył się kazał—kazał jej wygłosić przygotowaną przez siebie prelekcję i gdy choroba profesora się przedłużała, poszło to tak dalej. Że przecież zastępczyni była bardzo młoda i piękna, przez delikatną wstydlivość kazała umieścić katedrę za zasłoną. Po pewnym czasie takiego zastępstwa uznanem zostało, że Marya Gaetana posiada w przedmiocie swoim „wiedzę tak rozległą i głęboką,“ że może objąć katedrę na własną naukową odpowiedzialność, i tak też się stało. P. Malwina Ogonowska wskrzesiła szlachetną tradycją naukowości kobiet włoskich i otrzymała też po nich sukcesyą dostojności i szacunku publicznego.

A ubyla w tych czasach Włochom jedna szlachetna i wysoce ceniona kobieta: Margrabina Giuseppina Alfieri di Sastegno, siostrzenica i spadkobierczyni Cavoura, a razem duch z nim współczujący i współpracujący niegdyś w wielkim dziele odrodzenia i zjednoczenia włoskiej ojczyzny. Zaliczyć ją trzeba do najszlachetniejszych Włosek, które w historii wewnętrznej pracy swego kraju miejsce mieć powinny. Zamknęła ona oczy Cavoura, w literalnym znaczeniu tego wyrazu, bo umierał na jej rękach, a przejąwszy spadkiem rodziną jego majątność Santena, jedną komnatę w pałacu miejscowym obróciła na muzeum pamiątek po nim—po nim, jako wielkim Włochu i działaczu zasłużonym w sprawie odrodzenia włoskiego. Przechowywała ona w tejże komnacie podziurawioną od kul austriackich tunikę brata swego, poległego w bitwie pod Goito, mówiąc, że to należy także do pamiątek po Cavourze, bo to jego duch tchnął w pierś młodzieńca i działał w nim. Marchesa Alfieri przez związki krwi i przyjaźni, była złączoną z najszlachetniejszymi i najwybitniejszymi ludźmi Włoch. Mąż wielkiego ducha i zasług, Cezar Alfieri, był ojciec jej męża, a senator Visconti Venosta, poprzednio minister włoski spraw zagranicznych, jej zięciem, któremu zapisała dobra Santena z warunkiem starannego przechowywania komnaty pamiątkowej i obowiązkiem pomnażania pamiątek po successorach Cavoura wedle ducha:—„Jeżeli który z synów twoich będzie miał wielkie serce, złoży tam pamiątki po nim i nakaż mu, aby uczynił to samo względem synów swoich“, napisała w akcie testamentowym, którego umocowanym przez nią wykonawcą był też Visconti Venosta.

Wśród wspomnień bolońskich uroczystości należy dodać, że królowa Małgorzata zwiedziła wszystkie elementarne szkoły dziewcząt tego starożytnego grodu, a examina nie były tu czerzą formą, jaka często zastępuje w podobnych razach rzecz samą. Królowa odbywała je sama; prócz tego przejrzała uważnie książki, z których dzieci się uczą i w kilku szkółkach zadawała dzieciom pytania z religii, kazała im mówić pacierz, a w jednej z tych szkółek tłumaczyła, zdaje się na intencją nauczycielki, ważność i znaczenie w życiu uczucia pobożności.—„Jest to—rzekła—węzeł ziemi z niebem, bez którego trudno jest człowiekowi żyć dobrze. Wszyscy ludzie szlachetni mieli w sercu uczucie Boga—wszyscy mieli religię.“

Słowa te może już was doszły, bo niemal wszystkie czasopisma włoskie, nienależące do opozycji, powtórzyły je w kolei. Królowa jest tak kochaną, iż nie będzie to przesadą powiedzieć, że przez zyskaną sobie sympatią narodu, którą dzieli z królem Humbertem, pomaga mu do spokojnego i szczęśliwie dla Włoch prowadzonego panowania.

August.

Kronika działalności kobiecej.

— W Piotrkowie rozpoczęła się d. 25 Lipca nauka koronek, obok czego powstała tamże nauka

wyrobów udzielana bezpłatnie, przez p. Hołubską uczennicom, które przecież po odpowiednim wyuczeniu się swego rzemiosła, kwalifikującego się pod wszelkim względem na dział pracy kobiecej, powinny pozostać w zakładzie przynajmniej tyle czasu, ile trwała nauka, co jest rzeczą słuszną i godziwą, bo w ten sposób uczennice będą się wyplącały zakładowi za otrzymaną naukę, która odbywać się będzie w mieszkaniu p. Hołubskiej. Zakład przyjmować będzie wszelkie obstalunki na wyroby szmuklerskie jedwabne, lub wełniane—matowe lub z dżetem.

— W roku bieżącym przypada dwudziestolecia rocznica założenia w Krakowie przez Dr. Adryana Baranieckiego *Muzeum Technicznego* i obok tego *Kursów naukowych dla kobiet* wraz ze *Szkołą Rysunku i Malarstwa*. Jak zakład ten odpowiada warunkom wyższej szkoły kobiecej, tak naukowej, jak i artystycznej, wiedzą czytelnicy naszego pisma, bo rokrocznie znajdują podawany sobie całkowity plan nauki, we wszystkich wydziałach szkoły, wraz z nazwiskami nauczycieli, przedstawiającymi pierwszorzędne siły naukowe. Zakład ten, wielce użyteczny i zasłużony w kierunku pocziwego kształcenia i podnoszenia umysłowości kobiet, opierał się przecież głównie na ofiarności i poświęceniu dyrektora, czcigodnego Dr. Baranieckiego. Ale środki i siły jego zaczynają się wyczerpywać, szlachetna instytucja zaczyna potrzebować poparcia ze strony ogółu, i oto wyszła w Krakowie odezwa, wydana w imieniu grona byłych uczennic przez p. Mieczysławową Pawlikowską, która wzywa, aby jubileuszowa uroczystość była obchodzoną przez składki na fundusz, potrzebny dla wzmocnienia zakładu i utrwalenia jego potrzebnego i użytecznego bytu. Będzie to najlepszy sposób pamiątkowego uczczenia zakładu—„najmilszy, najdroższy“ jak pisze p. Pawlikowska, dla czcigodnego założyciela—i godzi się żywić nadzieję, że zechcą wziąć w tem udział tak byłe uczennice zakładu, jak i te kobiety, które czują ważność wyższego kształcenia się umysłów kobiecych w tym dobrym kierunku, nieodejmującym kobiecie nic, czego utracić nie powinna, a dającym to, co w duchu czasu i rozumnego, szlachetnego postępu jest zyskiem i nabytkiem potrzebnym. Kursa rysunku i malowania, których dyrektorem jest Matejko, można nazwać *kobiecą akademią sztuk pięknych*, gdzie uczennice uzdalniać się mogą do zawodów artystycznych nie gorzej, niż gdziekolwiek indziej. Od siebie powiedzielibyśmy nawet, że lepiej i najlepiej, jak można.

— Warszawianka rodem, panna Mroczkowska, wyjechała w tym czasie z Warszawy do Nowego-Yorku, gdzie otrzymała posadę korektorki, przy jednym z wychodzących tam pism polskich. Bardzo to pożyteczna i szlachetna praca przestrzegania pisowni i czystości języka na dalekiej obczyźnie, gdzie przecież przebywa wiele tysięcy ziomków naszych.

— P. Zofia Oblęcka, okulistka, zamieszkująca w Ameryce, w Baltimore, otrzymała tamże pierwszą nagrodę konkursową w kwocie 1.500 dolarów za napisanie najlepszego podręcznika w zakresie okulistyki. Panna ta jest rodem z Lubelskiego; po śmierci rodziców, właścicieli ziemskich ze stron wspomnianych, została wywieziona przez wuja, p. Michała Krasickiego, do Ameryki, gdzie od czternastego roku życia przebywała w Nowym-Yorku i gdzie ukończyła przed czterema laty kursa medyczne i poświęciła się okulistyce. Liczy obecnie lat 27.

— Znajduje się w Ameryce, w mieście Pittsburgu liczna kolonia Polaków, pracujących tam w fabrykach, a znajdujących się w zupełnym stanie zaniedbania religijnego i moralnego, i oto

jeden z misjonarzy tamtejszych przybył do Galicyi w celu sprowadzenia do Pittsburga tak kapłanów Polaków dla obsługi dusz tych dalekich wędrowców naszych, jak zarazem i sióstr miłosierdzia, oraz zakonnic i ochroniarek dla wychowywania i uczenia dzieci pochodzenia polskiego. Informacyi, jak podały gazety nasze, zasięgnąć można w Krakowie przez redakcyę pisma: „Missye Katolickie.“

— Panna Ludwika Lublin, więc przypuścić można, że pochodząca z naszego kraju, a słuchająca wykładów w jednym z kollegiów uniwersytetu londyńskiego, otrzymała 100 funtów, sterlingów stypendyum, obok zaszczytnego, pierwszego stopnia certyfikatu z historii filologii. Panna Lublin otrzymuje już piątą z rzędu stypendyum; musi to być studentka wyższych zdolności i pilności naukowej.

— Matylda Weber, wydając trzecią edycyę dzieła swego: „Etyczna i sanitarna potrzeba doktorów kobiet w chorobach kobiecych“, pisze w przedmowie, że stowarzyszenie kobiet niemieckich „Frauenverein“ otrzymało od osoby przychylniej sprawie wyższej nauki kobiecej 80 000 marek z celem zużytkowania ich, jako pomocy w tym kierunku.

— Znana powieściopisarka angielska, Mrs Lynu Linton umieściła w bardzo czytaniem czasopiśmie londyńskim: „Universal Review“ silnie i zasadniczo skreśloną rzecz: „Główna idea Zoli,“ w której wykazując psujące, rozstrajające moralność skutki jego literackiej działalności, zwraca się do kobiet z zapytaniem „jaką przyjemność znaleźć może kobieta uczciwa w czytaniu tego autora?“ Jest on utalentowany—tak, autorka angielska temu nie przeczy, lecz zarazem stawia pytanie: czy brakuje w literaturze powszechnej równym talentem obdarzonych, a nie tak ohydnych pisarzy? Czytelnikami Zola mogą być tylko ci, którzy się lubują w obrazach rozpamiętania i wzgardzonej obyczajności, zatem mają zepsuty już smak estetyczny i osłabiony zmysł moralności. Mrs Lynton wśród cytat wykazujących moralne i obyczajowe stanowisko Zoli, podaje jego zdanie, że uczucie czystej wstydlivosti jest fałszem, wyrobionem przez wieki, a odpowiadająca temu cnota snem. Autorka dziwi się też temu, jeżeli kobieta uczciwa bierze do ręki książkę tego pisarza, „kiedy jedno życie ludzkie nie miałoby dość czasu na przeczytanie wszystkich szlachetnie pięknych arcydzieł literatury, które dając wyższe zadowolenie estetyczne nie sprowadzają czytelników w kałużę potwornych rojeń obłąkanego przez zepsucie człowieka.“

— Miss Delfina Baker, Amerykanka, zamierza wydawać w Jeruzalem pismo religijno historyczne, pisane tak, że wszystkie wyznania chrześcijańskie znajdować w nim mogą jednaki interes.

— Anna Hude, Dunka, studująca na uniwersytecie w Kopenhadze, otrzymała złoty medal za studia historyczne.

— Rząd duński przeznaczył 3.000 koron rocznie w celu urzędzenia osobnych klas dla kobiet malarek i rzeźbiarek, któreby mogły studiować z żywych modeli pod auspicjami akademii sztuk w Kopenhadze.

— Na uniwersytecie w Christyanii studuje cztery kobiety medycynę. W Norwegii, gdzie klimat wytwarza przez długie przeciągi czasu nieprzebyte zapory w komunikacyi, gęsto po wszech rozsiani lekarze, są wielką i dla zdrowia publicznego bardzo ważną potrzebą, kobiety kształcą się też tam na lekarzy wiejskich.

— W dniach od 14 do 16 Lipca odbywał się w Kopenhadze zjazd kobiecy dla obrad nad kierunkami nauki i pracy kobiecej we wzajemnem

na siebie oddziaływaniu. Obrady te można nazwać wielce użytecznymi, bo potrzeba pracy dla kobiet objawia się wszędzie—wszędzie kobieta poszukuje jej gałęzi nowych i bardzo często naraża się na ciężki zawód, poświęcając czas i zasoby, nieraz ostatnie, na kształcenie się w kierunkach, które nie dadzą następnie odpowiedniego zastosowania dla nabytego uzdolnienia. Z drugiej zaś strony pewne gałęzie pracy, które kobieta uważa, jako zdobycze, wytargowaną na mężczyźnie, okazują się niepraktycznymi ze względu na siły kobiety i skutki złego ich oddziaływania na jej systemat nerwowy. Podobne narady choćby piśmienne, z przypozwaniami lekarzy i ludzi obznajomionych z przemysłem w kierunkach odpowiednich, byłyby potrzebne wszędzie, byłyby potrzebne i u nas, gdzie, jak wiemy, całe zastępy kobiet przebyły bardzo smutne w tym kierunku doświadczenia.

MYSŁI.

— Jeżeli otoczenie urabia człowieka, to na odwrót i człowiek również otoczenie sobie urabia. Tego przeświadczenia nie trzeba nigdy z dusz ludzkich wygładzać; przeciwnie, zaszczytać-by je należało w młodości. Wygłasza ono prawdę niezmiernie prostą, a wielką, że człowiek jest potęgą od innych potęg odrębną, że się w tej potędze potrzebuje odczuwać i polegać na niej.

— Być charakterem, to znaczy poddać temperament pod rząd sił wyższych rozumu i serca, sprzymierzonych ze sobą w miłości ideału; w szczęściu, czy nieszczęściu mieć środek swej ciężkości w samym sobie, w walce z przeciwnościami być siłą spokojną, siebie pewną i siebie świadomą.

— Zwycięzamy prawdziwie tylko w imię dobra i dla dobra—w walce dla czegoś, co nami samymi, naszą żądzą, naszą własną potrzebą nie jest i ponad tem wszystkiem góruje.

— Silną miłością i silnem cierpieniem odznaczają się dusze wyższe od pospolitych. Kto głęboko kochał, ten i głęboko boleć będzie. Boleść w nieszczęściu daje miarę samego uczucia z czasu przed nieszczęściem.

— W jednym i temsamym zakresie, z jednym i temsamem dążeniem inaczej kocha natura poetyczną, inaczej w prozie życia zagrzeżła.

— Świat bezwiednych popędów pełen jest cudownego piękna; poeta znajduje w nim będzie po wieki wieków, jak w ogrodzie Hesperyd, złote owoce uniesień; ale jest świat wyższy—świat uczuć bezinteresownych,—świat obowiązków i idei. Tam cześć dla ubóstwionego przez miłość przedmiotu przypomina fetysze, tu religia uczucia jest czystą, obmywa się bez posażków widomych, jest niepokalaną czią ideału. Taką religią miała Szekspirowska Imogena; do takiej religii nie była zdolną Julia.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Ciężkie czasy. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — **Korrespondencya zagraniczna**, Poznań. — **List z Włoch**, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej**. — **Mysli**. — **Dodatek obejmuje:** Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: *Wybór Aliny*, przez Mrs. Alexander. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Skrepta gospodarskie**. — **Dyspozycyę stołu**.